

Dlaczego wybrałem tenis

Tenis wybrałem z ciekawości. W dzieciństwie mieszkałem w warszawskiej dzielnicy Ochota, niedaleko stadionu Skry, od lat znajdującego się w ruinie i przynoszącego ujmę stolicy. Ale wtedy tam był największy żużel, jeździli po tym torze Smoczyk z Sucheckim, Szwendrowski, bracia Kapałowie i inni. A potem powstał kort tenisowy z niewielkimi trybunami, na których odbywały się mecze Pucharu Davisa. To tam Skonecki grał z Ayałą. Później tenis w Polsce przycichł i obudził go z letargu dopiero Wojtek Fibak.

Pamiętam mecz Pucharu Davisa z Węgrami na stadionie Legii wiosną w 1974 roku. Było 2:2 i w ostatnim meczu Fibak grał z Taroczym. Też było 2:2 i przy stanie 5:1 dla Taroczy'ego z powodu zapadających ciemności dokończenie meczu odłożono na poniedziałek. Przyszło kilka tysięcy widzów. Serwował Taroczy. Było 40:0 i wtedy stał się cud. Fibak ten mecz wygrał i szybko wszedł przebojem do światowej czołówki. A ja zacząłem pisać o tenisie.

Poprzednio pisałem różne książki i artykuły. O sporcie tylko raz: sprawozdanie z meczu Polska - Anglia na stadionie Wembley w październiku 1973 roku. Gdy dzięki zwycięskiemu remisowi Polacy wyeliminowali Anglię z finałów mistrzostw świata, napisałem dla tygodnika „Kultura” entuzjastyczny reportaż pod tytułem „Cud na Wembley”. Ale po zwycięstwie Fibaka napisałem do „Literatury” artykuł zatytułowany „Cuda większe niż na Wembley”.

Wtedy też zacząłem sam grać, ale bez sukcesów. Mimo to lubiłem tenis, dość dobrze biegałem po korcie, dochodziłem do wielu trudnych piłek, choć potem najczęściej je psułem. Tak było do czasu, gdy zaczęły mi wysiadać kolana, teraz psuję bez dobiegania do piłek; ale nadal lubię. Może dlatego, że tak wiele się dzieje, często zmienia się wynik, sposób liczenia punktów urozmaica przebieg gry. No i jest jakoś przyjemnie, bez fauli, bo przecież tenis to jeden ze sportów, gdzie nie ma fizycznego kontaktu z przeciwnikiem.

Większe sukcesy miałem jako obserwator niż gracz. W 1989 roku byłem w Anglii na turnieju wimbledońskim. W finale Borg wygrał z Roscoe Tannerem. Po drodze było wiele ciekawych spotkań. Jeszcze ciekawsze było dla mnie to, co działo się wokół turnieju. Napisałem wtedy książkę „Wimbledon”, którą do dzisiaj bardzo lubię. W 1983 roku, gdy uczyłem w Nowym Jorku, postarałem się o akredytację na turniej kobiecy Virginia Slims Championships. Były to wciąż najlepsze lata Martyiny Navratilowej. Najlepiej jednak pamiętam z tego turnieju coś innego. Przyjechałem z kraju, gdzie nie było rynku ani reklamy. Sport był finansowany przez państwo i służył wyższemu celom. Były zawody lekkoatletyczne o memoriał Kusocińskiego i motorowodne o puchar im. Rafała Pragi. Wiedziałem, kim byli Janusz Kusociński i Rafał Praga. Zapytałem więc gospodarzy, czym Virginia Slims zasłużyła się dla tenisa. Ku memu zawstydzeniu okazało się, że Virginia Slims to nazwa papierosów produkowanych przede wszystkim dla kobiet, a ich producent finansował turniej.

Dwa lata później oglądałem turniej mężczyzn w Los Angeles, po którym napisałem dla „Polityki” obszerny reportaż zatytułowany „Wielki tenis”. Wtedy poznałem Jacka Kramera, którego „cyrk” tenisowy pamiętałem z występów w Warszawie w latach mojej młodości. Jack Kramer był twórcą zawodowego tenisa, opartego o Lavera, Hoad, Newcombe'a i innych graczy australijskich. Kramer wyjaśnił mi, co było prawdziwym źródłem rozwoju tenisa - telewizja. Przed jej umasowaniem z zawodowego tenisa mogło utrzymać się od pięciu do ośmiu graczy na całym świecie, a potem setki. Bo telewizja lubi sport, w którym można umieszczać reklamy. Cóż lepszego od tenisa, gdzie po każdym dwu gemach następuje naturalna przerwa na jedną lub dwie reklamy.

Wówczas to wszystko był dla mnie szokujące. Dziś już wiem, że bez Prokoma nie byłoby - i rzeczywiście już go nie ma - jedyne w Polsce turnieju międzynarodowego z prawdziwego zdarzenia. A bez Totalizatora Sportowego, Coca Coli, Toyoty, Prince'a, PGE, Lazura i innych sponsorów nie byłoby corocznych mistrzostw Polski dziennikarzy, w których co roku biorę udział - bez powodzenia, ale z przyjemnością. Lubię miksty, choć się w nich gubię, a niekiedy złoścę na Bogu ducha winną partnerkę. W singlu często przegrywam gry, w których prowadzę 40:0. Kiedyś powiedziałem o tym Bohdanowi Tomaszewskiemu, z którym jeszcze w latach siedemdziesiątych pisywaliśmy w tygodniku „Kultura”. Ten odpowiedział: „Znam pana pięćdziesiąt lat, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że może pan być tak niedojrzałym i nieodpowiedzialnym człowiekiem”.

Postanowiłem to zmienić. Poprosiłem Marcina Kwiatkowskiego o ćwiczenia, które od czasu do czasu, choć niezbyt systematycznie, wykonuję. W tym roku stanąłem w pierwszym meczu turnieju pocieszenia mistrzostw Polski dziennikarzy naprzeciw Sebastiana Kawałko. Wylosowałem serw. Prowadziłem 40:0 i ... przegrałem gema, a później gładko cały mecz.

Mimo to nadal lubię grać. Zastanawiam się jedynie, jak tę niedojrzałość i nieodpowiedzialność ograniczyć tylko do tenisa, tak, aby nie rozlewała się na inne sfery mego życia.

Wiktor Osiatyński